



STACJONARNIE CZY MOBILNIE? – WYWIAD Z BARTKIEM PIELAKIEM

W OSTATNIM NUMERZE, W TYM ROKU SZKOLNYM, ROZMAWIAMY Z BARTKIEM PIELAKIEM – WICEDYREKTOREM, NAUCZYCIELEM JĘZYKA HISZPAŃSKIEGO, A TAKŻE ORGANIZATOREM WYMIAN MIĘDZYNARODOWYCH.

Franciszek Porayski-Pomsta:
Jak znalazłeś się na Bednarskiej?

Przypadkowo. Otrzymałem informację, że jest poszukiwany nauczyciel hiszpańskiego do znanego Społecznego Gimnazjum Raszyńska, a że szukałem pracy, zgłosiłem się. Na rozmowie wstępnej były moje dwie dzisiejsze dobre koleżanki – Beata Dzedzej oraz Kasia Sołdacka. Często wspominaliśmy to spotkanie sprzed 11 lat. W nauczaniu języków miałem już doświadczenie, bo wcześniej uczyłem różne grupy wiekowe w szkołach językowych. Najwięcej pracowałem z angielskim, bo w latach '90. hiszpański wciąż był językiem egzotycznym. Przez kilka lat uczyłem w szkole prywatnej w Sulejówku, oddalo-

nej 30 kilometrów od mego domu, tam też po raz pierwszy zostałem wychowawcą. Następnie, pojawiła się kusząca możliwość pracy Raszyńskiej, szczególnie że była bliżej mojego miejsca zamieszkania, a z tego naszego gimnazjum jest już autostrada na Bednarską.

Co widzisz wyjątkowego w Bednarskiej?

Przede wszystkim kwestię społeczności – nie tylko wśród grona nauczycieli, ale i młodzieży. Do tej wspólnoty czasami dołączają nawet rodzice, którym podoba się, co tu robimy. Ponadto zawsze myślę pozytywnie o moim miejscu pracy, głównie dlatego że pracuję tu z wieloma naprawdę ciekawymi ludźmi.

REDAKCJA NA URLOPIE

Franciszek Porayski-Pomsta

Redaktor naczelny

Michał Bisiorek

Redaktor-grafik

Maciej Mroczek

Redaktor działu Auto Moto

Barto Pielak

Maria Jagodzińska

Rozalia Saramonowicz

W pewnym momencie Twojej pracy na Bednarskiej przejąłeś rolę organizatora wymian międzynarodowych. Jak to się stało? Co Cię motywuje do takiej działalności i jaki widzisz w niej sens?

Wszystko się zaczęło na Raszyńskiej – tam Beata Dzedzej organizowała tego typu wymiany i przez pierwsze lata jeździłem z nią, podpatrując, jaki to ma sens i jak to działa. Zawarłem w ten sposób również moje pierwsze międzynarodowe znajomości i zacząłem szukać nowych na własną rękę. Potem dałem się wciągnąć w projekt współpracy unijnej z Mariuszem Kozłowskim i wtedy już wpadłem na dobre. Przez ostatnie siedem lat współpracowaliśmy przy trzech dwuletnich projektach (dwa Comenius i jeden Erasmus). W międzyczasie samemu szukałem kontaktów żydowskich i udało mi się je nawiązać, z czasem wyrosło z tego Shalom Polin. Około trzy lata temu zaproszono nas do współpracy w ramach ESN (European School Network). Po roku próbnym postanowiliśmy dołączyć do tego stowarzyszenia. Organizujemy dla szkół partnerskich dwa warsztaty: jeden samodzielnie jako I SLO o dość ciężkiej tematyce – II wojna światowa w Warszawie i w Polsce („Never Again”) – oraz drugi we współpracy z Bednarską Szkołą Realną, Eco Xperience – wyjazd eko dla cudzoziemców. Do tego niedawno doszła jeszcze jedna, niezwykle międzynarodowa aktywność: współpraca z Hyderabad Public School w Indiach. Zdecydowaliśmy się na to w dużej mierze ze względu na naszego patrona. Od samego początku chciałem

także, aby ten projekt miał charakter „międzybednarski”, co zresztą się udało, z czego jestem bardzo dumny. Czas pokaże, czy kontakt Bednarskiej z Indiami to coś trwałego, czy zbyt trudnego do utrzymania ze względu na swoją interkontynentalność i liczne wyzwania kulturowe.

Dlaczego uważasz, że osoby, których rytm szkolny został zaburzony ze względu na obecność podczas wymian, wyniosą coś z tego więcej, niż siedząc w ławce?

Trzeba w tym miejscu podjąć temat polskiego szkolnictwa. Po wielu latach, które w nim spędziłem, mam wrażenie, że to skansen. Jestem świadomy, że zagorzali wyznawcy wymian – a takich na Bednarskiej na szczęście (dla mnie) nie brakuje – z trudem nadrabiają szkolne zaległości i czasem mają gorsze oceny niż by chcieli lub mogli. Ilość informacji encyklopedycznych, jakie muszą przyswoić, niekoniecznie wydaje mi się kompatybilny z rzeczywistością u progu trzeciego dziesięciolecia XXI wieku. Wyznawcy wymian dokonują jednak świadomego i – moim zdaniem – dobrego wyboru. Cieszę się, że na Bednarskiej jesteśmy jeszcze w stanie pogodzić tak wiele opcji postaw szkolnych, pozornie wzajemnie wykluczających się. Taka elastyczność jest bardzo trudna do osiągnięcia, wymaga wyrozumiałości ze strony wszystkich bednarskich stanów. Nie wszyscy są naturalnie szczęśliwi z tego powodu, że zapewniam szkole tylu międzynarodowych bodźców. Mam poczucie jednak, że nasi absolwenci, gdy będzie nas wspominać, pomy-

ślą nie tyle o siedzeniu w budynku szkolnym, co właśnie o wspólnych wyjazdach – czy to do Machnacza, czy do Hiszpanii. Chodzi tu nie tylko o więzi i doświadczenia w ten sposób zdobywane – wyjazd zagranicę w doborowej ekipie to również praktyczna nauka języka obcego oraz doznania międzykulturowe, na które nie ma co liczyć, pracując stacjonarnie z podręcznikiem w naszej umiłowanej szkole. Można by więc powiedzieć, że utknąłem w rozkroku między szkolną mobilnością i stacjonarnością.

Co sądzisz o wizerunku Polski wśród obcokrajowców, którym głównie kojarzy się ona z masakrą II wojny światowej z Holokaustem w roli głównej? Czy starasz się to jakoś zwalczać?

Od dłuższego czasu już z tym nie walczę. Zamiast narzekać, staram się wykorzystać zaistniałą sytuację. Wiadomo przecież, że przeciętny Amerykanin czy Francuz po usłyszeniu słowa „Polska” pomyśli raczej „Auschwitz” niż „Wawel”. Dla nas Polaków nie powinna być to okazja do narzekania, wprost przeciwnie – należy skorzystać z ich zainteresowanie wąską tematyką i poszerzać je przy każdej możliwej okazji, na każdy możliwy sposób. W Polsce jest tyle pięknych historii do opowiedzenia, nawet jeśli nie wszystkie kończą się szczęśliwie, należy je opowiadać. Pierwszy i być może najlepszy przykład: Warszawa. Wspaniałe, nowoczesne miasto, dumne ze swojej historii, pomimo tragicznych losów w trakcie II wojny światowej, zwrócone ku przyszłości... i nie mogę się oprzeć wtrąceniu tego cytatu z wiersza Antoniego Slonimskiego:



*I płynie miasto
na skrzydłach sławy,
I spada kamieniem na serce.
Do dna.*

Mnie właśnie nasza Warszawa, nasza Polska spadła kamieniem na serce, do dna. Stąd moje opowieści, których nie żałuję ani naszej młodzieży, ani naszym gościom zza granicy. Wtedy również nabiera sensu nauka języków obcych, które przy takich aktywnościach stają się czymś znacznie więcej niż tylko kolejnym przedmiotem do zaliczenia.

Udało Ci się to wykorzystać znakomicie w projekcie Shalom Polin.

Tak, Shalom Polin jest ewidentnie znakomitym pomysłem, który udało się zrealizować nie tylko dzięki nam, ale także Shmuelowi, który nas znalazł i nam zaufał. Zresztą, patron ich szkoły, rabin Abraham Joshua Heschel, urodził się w Warszawie! Współpraca polsko-żydowska na Bednarskiej to był mój pomysł i jestem bardzo szczęśliwy, że udało się go zrealizować. Co roku mamy kontakt z co najmniej trzema grupami żydowskimi ze Stanów Zjednoczonych: NY Heschel School, March of The Living South Region i Shalhevet. Cel Shalom Polin nie jest nieprzypadkowy. Przecież wciąż dużym problemem w Stanach Zjednoczonych jest to, że ludzie pochodzenia żydowskiego nie są otwarci na rozmowę z Polakami. Oni mają swoją wizję Polski i niechętnie ją zmieniają. To samo dotyczy nas: niełatwo przychodzi nam otwarta rozmowa o tym, jak wyglądało polsko-żydowskie współistnienie. Ten projekt ma wymiar bardzo humanistyczny, bo uświadamia, że Holocaust nie był spowodowany tylko przez zły system polityczny, ale również przez

ludzi, którzy mu się poddali. To nasuwa wiele ciekawych refleksji wśród młodzieży uczestniczącej w projekcie, dzielimy się nimi, nie boimy się zadawać trudnych pytań ani odpowiadać na nie. Shalom Polin uczy myśleć i odczuwać, nie tylko w języku angielskim.

Jaką widzisz przyszłość dla Bednarskich projektów międzynarodowych? Czy planujesz coś nowego?

Nie ma możliwości, by w obecnej chwili zrobić coś nowego. Uważam, że osiągnęliśmy już wystarczająco dużo i powoli wyczerpują się nasze moce przerobowe. A kontakty mamy naprawdę świetne: trzy szkoły w Hiszpanii, jedna w Niemczech, szkoły ESNU z całej

mojej uwagi, chociaż nie zawsze mogę im poświęcić jej tyle, ile bym chciał. Jestem w 100% zaangażowany w tematy domowe i szkolne, przestrzeni dla siebie samego praktycznie nie mam: chciałbym więcej czytać, słuchać, oglądać... na te chwile nie mogę sobie na to jednak pozwolić. Nawet nie za bardzo mam czas to analizować, żyję zadaniowo zgodnie z grafikiem w kalendarzu google (co za wspaniałe narzędzie!) i zegarka, na który regularnie spoglądam.

Kiedy wracasz do domu po ciężkim dniu pracy, na co masz najbardziej ochotę?

Dziesiąta muza jest ostoją mojej normalności. Posiadam wyjątkową potrzebę poszukiwania no-



Europy, do tego jeszcze Heschel w Nowym Jorku oraz HPS w Indiach. Główne wyzwanie, przed jakim obecnie stoimy, to odpowiednie zarządzanie kalendarzem szkolnym.

Na ile organizacja wymian absorbuje Twój czas?

Bardzo ważną rzeczą jest wiedzieć, na jakim jest się etapie w życiu. Ja już przez dłuższy czas naprawdę dobrze się bawiłem i wiem, że teraz muszę się skupić na innych kwestiach. Mam dość małe dzieci i one wymagają dużo

wych filmów i staję się coraz bardziej wymagający, chociaż głównie oglądam dzieła europejskie. Czytam też czasami książki, ale ich tematyka jest raczej trudna, m.in. dotyczy Holocaustu lub zawiłych relacji międzyludzkich. Czasem puszczam sobie głośno muzykę – w naszym domu i samochodzie jest ona bardzo ważna. Lubię to, że słuchamy ją zawsze rodzinnie i to zawsze w stałym zestawie około dwudziestu płyt. A więc – film, muzyka i książka – to wypełnia resztki mego wolnego czasu.

Plakaty filmowe w sali kinowej to Twoja zasługa. Czy Pedro Almodóvar jest Twoim ukochanym twórcą?

Plakaty znalazły się tam nie tylko ze względu na to, że rzeczywiście lubię tego reżysera, ale także ze względu na moją wrażliwość estetyczną. Uważam Almodóvara za wybitnego twórcę: jest autorem i scenarzystą większości swych filmów, często współpracuje z tymi samymi operatorami i aktor(k)ami, ścieżkę dźwiękową komponuje ten sam artysta. Muzyka w jego filmach i plakaty je promujące nigdy nie są przypadkowe - to integralna całość procesu twórczego. Plakaty Almodóvara są obrazami, które kręcą się w mojej głowie podobnie jak dzieła Michała Anioła czy Diego Velázqueza – są to dla mnie ikony.

Sama historia pojawienia się ich w sali kinowej jest ciekawa: zacząłem od tego, że napisałem do wytwórni Almodóvara "El Deseo" e-mail, czy można takie plakaty kupić. Odpisali, że archiwizują je na swoje potrzeby, natomiast mogą mi wysłać dwa. To był początek. Za pośrednictwem mojego przyjaciela z Hiszpanii zakupiłem kolejne, a na koniec zakupiłem czerwone ramki. Sala kinowa wygląda teraz rzeczywiście lepiej. Jesteśmy również liceum, w którym język hiszpański odgrywa istotną rolę: założyliśmy Gimnazjum Hispaniola, mamy projekt Hiszpański XL. Sala 5 jest pomalowana w barwy Republiki Hiszpanii, teraz chcemy „zawłaszczyć” sobie 13-stkę, co rozpoczęliśmy, wieszając reprodukcje obrazów z Muzeum Prado.

Skąd wziął się Twój mocny związek z Hiszpanią?

Kiedy skończyłem liceum, zastanawiałem się, jaką wybrać uczelnię. Miałem taki przywilej, że byłem laureatem olimpiady z historii sztuki,

co otworzyło mi automatycznie wiele furtek. Od zawsze ceniłem sztukę hiszpańską – El Greco czy właśnie Velázqueza. Wybrałem więc filologię hiszpańską, choć wówczas był to w Polsce język bardzo egzotyczny. W efekcie, przez pięć lat studiów uległem kompleksowej hispanizacji i tak już mi pozostało.

Hiszpania jest Twoim priorytetem wakacyjnym?

Zupełnie nie, najlepiej rekonstruuję się w Polsce. Lubię zaszyć się gdzieś na peryferiach, wyłączyć telefon komórkowy, chociaż przez chwilę rozkoszować się świętym spokojem ... Kiedyś wakacje to był



także czas (płonnej jak się okazało) nadziei, że następny rok szkolny będzie łatwiejszy. Tyle że on nigdy takim nie był, wręcz przeciwnie – z mojego doświadczenia wynika, że każdy jest coraz bardziej intensywny.

Jak rozumiem, nawet jeśli rok szkolny jest dla Ciebie wyczerpujący, to daje Ci jakąś zawodową satysfakcję i radość?

Oczywiście, bo bez nich pewnie bym handlował kibelkami i umywalkami firmy Roca, czy sprzedawałbym Seaty lub piękną hiszpańską glazurę. Uważam, że dzięki Bednarskiej bardzo wiele się nauczyłem

i nie zamieniłbym tej pracy na inną.

Czy wyobrażasz sobie życie bez Bednarskiej?

To bardzo trudne pytanie. Na pewno mam głęboką świadomość, że nic nie musi być na zawsze. Możliwe, że w przyszłości coś się wydarzy, że będę musiał Bednarską opuścić. Na obecną chwilę nic na to nie wskazuje, czuje się mocno związany z tą społecznością. Bardzo trudno byłoby mi opuścić to miejsce. Musiałoby być to spowodowane poważnym, pewnie smutnym wydarzeniem albo podjęciem decyzji o otwarciu nowego etapu w życiu. Jednak szczególnie w tych dynamicznych czasach, uważam patrzenie w przyszłość za nieużyteczne. Uważam również, że nie ma ludzi niezastąpionych – wcale nie sądzę, że jestem mistrzem świata w organizacji projektów międzynarodowych. Bardzo cenię na Bednarskiej nasze myślenie szerokokątne: to, co robimy, staramy się robić jak najlepiej z myślą o tych, z którymi współpracujemy i których uczymy, oraz o tych, którzy nadejdą. Uczymy się od siebie nawzajem, chętnie wychowujemy sobie następców, jesteśmy otwarci na trudne dyskusje. Jeśli ktoś tylko chce, naprawdę może współtworzyć te szkole.

Czy widzisz swoje dzieci na Bednarskiej?

Jak najbardziej tak. Zdaję sobie sprawę, że wielu nauczycieli i wiele nauczycielek nie chce, by ich pociechy szły do szkoły, w której uczą, ale jestem przekonany, że to będzie dobre miejsce dla moich dzieci. Ominęłoby ich zbyt ciekawe i rozwijające środowisko, gdyby nie poszły na Bednarską. Cóż, będę musiał się zmierzyć z omawianiem ich sytuacji na radach pedagogicznych, co na pewno nie będzie łatwe.



Niestety, mój syn w związku z obecnymi zmianami w systemie szkolnym nie będzie mógł pójść do Hispanioli i bardzo tego żałuję.

Likwidacja Hispanioli związana jest z reformą systemu edukacji. Co o niej sądzisz?

Na pewno my, Polacy, mamy w sobie wiele histeryczności i gdy ktoś nam coś proponuje zmiany, z zasady musi to być złe. Mam jednak wyraźne odczucie, że obecna zmiana w systemie edukacji jest narzucona bez przekonywania ludzi, że niesie za sobą jakieś pozytywne. Jestem tym rozczarowany, to smutny element naszej kultury politycznej – nie wiem, czy tylko polskiej. Zmiany te to także strata czasu i pieniędzy. Co mnie najbardziej martwi, że reorganizacja nie jest zmianą systemu nauczania – kontynuujemy archaiczny model edukacji, okraszony polonocentryzmem. Nie mogę jednoznacznie powiedzieć, że ta zmiana jest zła, ale na pewno wprowadza chaos, a wizja nadchodzącego podwójnego rocznika jest przerażająca – a wiem, co mówię, bo jestem nie tylko wicedyrektorem Hispanioli, lecz również wychowawcą ostatniej jej klasy, obecnej drugiej gimnazjum.

Czy spotykasz się z negatywnymi opiniami na temat Bednarskiej?

Tak, oczywiście. Niektórzy myślą, że płaci się u nas za oceny, tylko dlatego że jesteśmy szkołą społeczną, co jest bardzo krzywdzące. Mówi się też o panującym tu wielkim spoufaleniu – kontakt między uczniami a nauczycielami według niektórych jest zbyt bliski. Wtedy zawsze sobie przypominam filozofię Korczaka, która zawsze stanowi dla nas wzór. Relację między stanami w naszej szkole – uczniowskim, nauczycielskim i rodzicielskim – można śmiało nazwać dziedzictwem właśnie naszego mentora. Z drugiej strony, spotykamy się z opiniami zaskoczonych rodziców i uczniów, że nie spodziewali się, iż taka szkoła może w ogóle istnieć i że jak to jest, że wciąż tyle osób w Warszawie o nas w ogóle nie wie. Bednarska po prostu bardzo dobrze się sama broni i wychodzi z niej wiele gotowych do działania, otwartych i kreatywnych ludzi.

Po co być komuś nauczycielem w XXI wieku, gdy można zostać pracownikiem w korporacji i mieć trzy samochody?

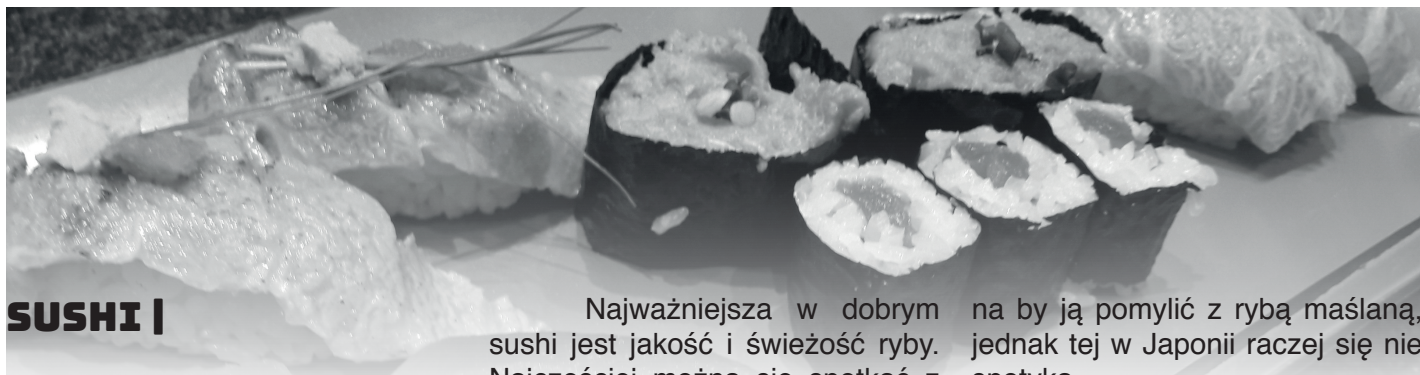
Z wizją nauczyciela w Polsce może być jeszcze długo wielki problem. Zbyt wiele osób jest przekonanych, że ktoś dynamiczny i kreatywny w życiu nie powinien iść pracować do szkoły, bo automatycznie gwarantuje to zmarnowanie talentu. Jako by szkoła miała być przechowalnia miernot i wysypiskiem niespełnionych marzeń i sukcesów, na którym wyrasta frustracja i gorycz, którymi zaraża się następnie uczniów. Moim zdaniem nauczyciel powinien mieć konkretne przekonania, być dynamiczny, mieć jakiś pomysł na swoją pracę. Nie rozumiem ludzi, którzy są sfrustrowani i pracują w zawodzie nauczycielskim, a złe emocje ostatecznie przelewają na młodzież – przecież dziś można lepsze pieniądze zarobić nawet pracując jako kasjer czy kasjerka w Biedronce. Szkoła powinna być miejscem poznawania ciekawych ludzi, współlistnienia autorytetów i ich wyznawców, z przestrzenia na dobrą zabawę i trudne rozmowy. Na Bednarskiej działa to dobrze, a potwierdza to liczba absolwentów, którzy do nas wracają na dłużej czy krócej.

Dziękuję bardzo za wywiad.



SMAKI KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

SŁYSZĄC O JAPOŃSKIEJ KUCHNI, WIELE OSÓB MOŻE NIE ZDAWAĆ SOBIE SPRAWY, IŻ JEST TO COŚ WIĘCEJ NIŻ SUSHI, KTÓRE MOŻEMY ZNALEZĆ W WARSZAWIE PRAKTYCZNIE NA KAŻDYM KROKU. PODCZAS MOJEJ WYPRAWY DO KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA UDAŁO MI SIĘ SPRÓBOWAĆ WIĘCEJ NIESAMOWITYCH POTRAW NIŻ W CAŁYM MOIM ŻYCIU.



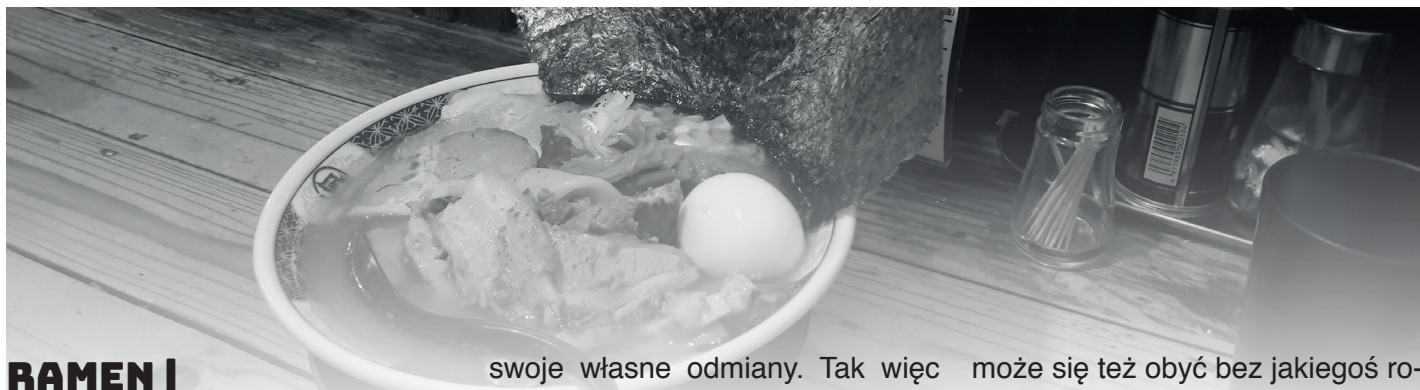
SUSHI |

Zacznijmy od czegoś, co wszystkim jest znane. Najpopularniejsza forma sushi w Polsce to maki, często w formie sushi rolisów. W Japonii, jednak głównie spotykałam się z nigiri. Maki stały się czasem małym dodatkiem w zestawie.

Najważniejsza w dobrym sushi jest jakość i świeżość ryby. Najczęściej można się spotkać z nigiri z łososiem (sake), tuńczykiem (maguro), krewetką (ebi), węgorzem (unagi) czy z omletem z jajka (tamago). Podczas mojej pierwszej podróży, dwa lata temu, parę razy trafiłam na białą rybę, która okazywała się strasznie twarda i ciężka do przeżucia. Moż-

na by ją pomylić z rybą maślaną, jednak tej w Japonii raczej się nie spotyka.

W menu często można spotkać coś, co nazywa się „fat tuna sushi”. Czym różni się gruby tuńczyk od zwykłego? Oczywiście tłustością! Im grubszy tuńczyk, tym jego jakość jest wyższa. Fat tuna sushi to jedna z obowiązkowych pozycji do spróbowania w Japonii.



RAMEN |

Kolejna rzecz, o której słyszy się w Polsce coraz częściej. Ramen to zupa ze specjalnym, długim, pszennym makaronem, który jest jedynym stałym elementem tego dania. Wachlarz reszty składników jest bardzo szeroki – potrawa ta jest tak popularna, że wszystkie restauracje próbują stworzyć

swoje własne odmiany. Tak więc można znaleźć różne buliony, czarne, białe, czerwone, gęste, rzadkie, tłuste i lekkie. Zazwyczaj do zupy dodaje się też mięso. Najczęściej spotyka się parę dużych plasterków boczku, choć zdarzyło mi się też spotkać z innymi mięsami. Dla osób nie mających akurat problemów z nadwrażliwym żołądkiem obowiązkową pozycją w ramenie jest połówka jajka. Nie

może się też obyć bez jakiegoś rodzaju glonów, grzybów czy czasem tykwy.

Jednym z miast specjalizujących się w ramenach, które odwiedziłam, jest Fukuoka, znana też z centrów handlowych wielkości osiedla mieszkального. Rzeczywiście, ramen, który tam zjadłam, należał do jednych z lepszych, biorąc pod uwagę fakt, iż osobiście nie jest to moje ulubione danie.

Trafiliśmy bardzo późnym wieczorem do całkiem nowej restauracji. Bulion był biały i miał delikatny posmak grzybowy, który zdecydowanie mi odpowiadał.

Mówiąc o ramenach w Fukuocie, nie można nie wspomnieć o najlepszej restauracji, czyli o Genki Ippai. Myślę, że wszyscy wiemy, jak pełnym dziwactw krajem jest Japonia, a ta restauracja zdecydo-

wanie należy do nich. i Aby znaleźć Genki Ippai trzeba szukać wywieśzonego przed domem niebieskiego kubelka, ponieważ restauracja otwierana jest o losowych godzinach i nie ma szyldu. Wchodząc do środka, nim podejdziesz do stolika, dostaje się regulamin, w którym ma się dokładnie opisać, w jaki sposób je się ramen, żeby nie obrazić szefa, oraz co można, a cze-

go nie można robić podczas jedzenia. Między innymi zakazana jest rozmowa o spożywanym właśnie posiłku oraz fotografowanie go. To jednak nie koniec. Menu także nie jest zwyczajne, ponieważ posiada sekcję ramenów dla początkujących oraz ramenów dla członków klubu. Trzeba być doświadczonym smakoszem, żeby docenić te głębsze smaki.



YAKITORI |

Po japońsku yaki oznacza smażone, więc każde danie zawierające to słowo w swojej nazwie jest na pewno daniem z patelni lub w tym przypadku z grilla. Tori oznacza kurczaka, z czego można wywnioskować, iż oryginalnie to danie jest właśnie tym grillowanym ptakiem. W praktyce yakitori jest teraz ogólną nazwą przeróżnych szaszłyków, najczęściej mięsnych. Restauracje z tym daniem są najczęściej wybieranymi lokalami przez grupy zmęczonych pracowników biurowych, którzy chcą się trochę rozerwać po pracy. Piją piwo, zagryzają mięso, a z każdym tykiem śmieją się coraz głośniej. Potem, żegnając się, kłaniają się sobie nawzajem po dziesięć razy.

Do jednej z lepszych restauracji trafiłam z Panem Jago w Kurashiki. Jest to malutka, prze-

pięka miejscowość w prefekturze Okayama. Weszliśmy do lokalu, gdzie kelnerka trochę na migi powiedziała nam, że nie ma miejsc, ale możemy stanąć w kolejce. Znajdowała się ona trzy domy dalej w drugim lokalu z tylko jednym stołem zajętym przez właśnie wspomnianą grupę pracowników biurowych.

Kolejki w Japonii są bardzo normalną rzeczą. Często przed restauracjami stoją krzeselka dla czekających, a parę razy zdarzyło mi się spotkać z kolejką usytuowaną w specjalnie przeznaczonych do tego przerwie między dwoma budynkami. W Japonii ważna jest cierpliwość. Żeby zjeść najlepsze jedzenie, trzeba się pomęczyć, a warto!

Nareszcie, kiedy udało nam się dostać do lokalu, zamówiliśmy dwa zestawy B, żeby móc spróbować paru różnych szaszłyków. Przyznam, że od bardzo

dawna nie wzruszyłam się tak bardzo, jedząc.

Mięso z kurczaka w sosie miso, wołowina teriyaki, pędy czosnku i szparagi w boczku, wszystko. Na koniec zamówiliśmy dodatkowo skórki z drobiu, co może brzmi strasznie, ale chrupiące kawałeczki były przecudowne, i rozpyływające się w ustach papryczki, podobne do hiszpańskich Pimientos, ale bardziej soczyste. Najbardziej jednak w pamięć zapadły mi szparagi. Zazwyczaj zielona odmiana kojarzyła mi się z chrupkością bez specjalnych fajerwerków. Tym razem jednak to, co zjadłam, ciężko jest opisać. W moich ustach wybuchła kaskada smaku razem z sokiem wyciekającym z soczystego szparaga. Coś niezwykłego. Wracając z restauracji do domu, byłam bliska płaczu. To była druga najlepsza rzecz, jaką jadłam w życiu.



UDON I

Ważne jest, by szukając udonu w Japonii pamiętać, iż „-n” w japońskim jest lekko nieme. Wymowa więc przypomina bardziej „udą” z przeciągniętym „-ą”. Pytając raz o drogę do miejsca, gdzie moglibyśmy zjeść to danie, straciliśmy dobre 5 minut na tłumaczenie, czego szukamy, chociaż, biorąc pod uwagę znajomość angielskiego przez japońskich obywateli, to nie było nic niezwykłego.

Udon jest jednym z tych makaronów, który spokojnie można znaleźć w każdym polskim supermarkecie. Oczywiście robiony na szybko, ledwo zalany wrzątkiem na 5 minut, z proszkiem w stylu zupki chińskiej nie równa się japońskimi możliwościami przygotowania. Gruby, pszeniczny makaron najczęściej podawany jest w delikatnym rosółku, zimnym w upalne dni. Na deszczowe, nieprzyjemne dni najlepszą alternatywą jest udon w curry japońskim: gęstej, brązowej mazi, mocno rozgrzewającej.

Ten makaron zdarzyło mi się jeść dużo razy w czasie tego rocznej podróży. Najlepszego udało mi się spróbować w Fukuocie. Do restauracji oczywiście stała kolejka, jednak słyszeliśmy z tatą,

że drugiego takiego udonu w Japonii nie da się zjeść. Przed lokalem wisiał wielki plakat ze zdjęciem michy pełnej makaronu, posypanego kawałeczkami mięsa, glonami, kiełkami i innymi dodatkami, z surowym żółtkiem na środku. Pod spodem podpisano, że udon ten uzyskał tytuł trzeciego najlepszego udonu w Japonii w 2014 roku, a w 2015 drugiego najlepszego. Po wejściu trudno nie było zauważyć dwóch statuetek sięgających prawie pod sufit zapewne symbolizujących te niezwykle osiągnięcia.

Na szczęście, nie miałam problemów żołądkowych, więc nie musiałam się martwić surowym jajkiem w słynnym udonie. Bez wahania wybrałam właśnie tego udonowego mistrza.

Nie pożałowałam. Po zmieszaniu wszystkich składników i wzięciu jednego kęsa, zamarłam. Dosłownie na chwilę zastygłam, patrząc się w moją miskę. Delikatny makaron, z pysznym mięsem z żeberka odgrywał w moich ustach najpiękniejszą symfonię smaku. Po raz kolejny nie do opisania. Nie miałam nawet jak tego skomentować, tylko w ciszy zabrałam się do jedzenia. Było to tak przepiękne, że jedyne o czym myślałam, to decyzja, że, kiedy wrócę do Japonii, nieważne czy będę zwiedzała

zupełnie drugi koniec tego kraju, wrócę do Fukuoki, i po raz kolejny skosztuję to danie. Żółtko idealnie zmieszało się z sokami wypuszczonymi przez mięso i inne dodatki, nadając tym samym makaronowi delikatności i smukłości.

Myślę, że nietrudno domyślić się, że to danie było zdecydowanie moim królem wyjazdu. Na pewno wrócę do tej restauracji, mimo że sama przyjemność skończyła się dla mnie bardzo boleśnie. Mięso niestety pochodziło mi między zęby i mocno podrażniło dziąsła, czego skutki odczuwałam całą resztę dnia.

Nie udało mi się opisać wszystkich pyszności zjedzonych przeze mnie w Japonii, jest ich jednak tak dużo, że spokojnie mogłabym już napisać o tym krótką książkę.

Polecam podróż do tego, proszę nie być przerażonym cenami, mój najcudowniejszy udon kosztował 750 yenów, czyli około 25 zł. Oczywiście na dania mięsne trzeba wydać trochę więcej, ale cóż mogąe rzec?

Po prostu warto.

Tekst i zdjęcia:
Maria Jagodzińska

SPRAWOZDANIE Z PARADY RÓWNOŚCI

9 CZERWCA 2018 ROKU W WARSZAWIE ODBYŁA SIĘ 18. PARADA RÓWNOŚCI. KILKADZIESIĄT TYSIĘCY LUDZI MANIFESTOWAŁO SVOJE POPARCIE DLA PRAW MNIEJSZOŚCI.

Wielki pochód zaczął się o godzinie 15 pod Pałacem Kultury, przeszedł aleją Jana Pawła II, Alejami Jerozolimskimi, ul. Marszałkowską i aleją Solidarności z powrotem do PKiN-u. Wcześniej, o godzinie 12 wystartowało Miasteczko Równości, w którym można było kupić flagi we wszystkich kolorach, w tym Unii Europejskiej, porozmawiać z przedstawicielami organizacji LGBT+ i zrobić sobie tymczasowe tatuaże. Na paradzie pojawili się również przedstawiciele partii Razem, Nowoczesnej, SLD, Zielonych oraz Rafał Trzaskowski, kandydat PO na prezydenta Warszawy. Obecni byli również ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Irlandii.

To była najwspanialsza i najbardziej radosna parada w mieście w tym roku. Wszyscy byli szczęśliwi i uśmiechnięci,



tańczyli do muzyki puszczanej z platform i skandowali hasła takie jak: "Bób, Humus, Włoszczyzna". Młodzi, starsi, rodziny z dziećmi, wierzący i ateści, homo, hetero, pan, bi, trans - wszystkich zjednoczyła idea równości i tolerancji. Pojawiły się transparenty z hasłami: „Mój ksiądz też jest gejem”, „Mój wnuczek ma chłopaka i jestem z niego dumna”, „Miłość nie jest grzechem”, „Nie trwóźcie się! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele...”. Jednak najwięcej uwagi przyciągały zniewalające Drag Queen. Podziwiano ich stroje, perfekcyjne makijaże, a przede wszystkim umiejętność chodzenia na bardzo wysokich obcasach.

Oprócz pojedynczych głosów sprzeciwu, parada przebiegła spokojnie i bez zakłóceń.

**Tekst: Rozalia Saramonowicz
Zdjęcia: Kinga Kamińska**





OPEN'ER FESTIVAL - KONCERTY, KTÓRYCH NIE MOŻNA PRZEGAPIĆ!

TEGOROCZNY LINE-UP MUZYCZNEGO FESTIWALU W GDYNI ZAPOWIADA SIĘ MIODNIE! POMIJAJĄC MOJE WIELKIE SZCZĘŚCIE Z OBECNOŚCI „GORILLAZ”, JESTEM PODEKSCYTOWANY NA MYŚL USŁYCZENIA ZESPOŁU „SUPERORGANISM” ORAZ ARTYSTKI KALI UCHIS, KTÓRYCH TO DEBIUTANCKIE ALBUMY UKAZAŁY SIĘ W TYM ROKU.

SUPERORGANISM



Domino Recording Company

Gdy tajemniczy, nieznany zespół wypuścił swój pierwszy singiel „Something For Your M.I.N.D.” fora internetowe pełne były teorii o tym kto lub co kryło się pod tym projektem muzycznym. Jak się później okazało, nazwa „Superorganism” jest zupełnie trafna, ponieważ zespół składa się z - poznanych w przeróżnych okolicznościach - ośmiu osób pochodzących z Angli, Japonii, Nowej Zelandii, Australii oraz Korei Południowej. Mieszkając pod wspólnym dachem w warunkach domowych, stworzyli swój pierwszy krążek, na który składa się dziesięć utworów z pogranicza artpopu. Bogate, ciekawie eksperymentujące z elektroniką piosenki szybko wpadają w ucho i nie pozwalają o sobie zapomnieć. Gdy chciałem jak najprościej zilustrować pierwsze single, stwierdziłem, że świetnie pasowałyby do soundtracku serii gier „FIFA”. Zdziwiłem się, gdy się okazało, że wspomniany wyżej singiel, został wykorzystany w jej osiemnastym odcinku!

KALI UCHIS



Rinse Recordings

Twórczość Kali Uchis, a właściwie Karly-Mariny Loaizy, po raz pierwszy poznałem, gdy wystąpiła gościnnie na zeszłorocznym krążku „Gorillaz”: „Humanz”. Jednak dopiero wraz z premierą debiutanckiej płyty Kolumbijki zacząłem jej namiętnie słuchać. Co jest niesamowite, nie jest to wcale wokalistka, której wizerunek został stworzony przez korporacje. Jest to artystka, która w czasach szkolnych spędzała noce, samotnie pisząc teksty i tworząc muzykę w swoim samochodzie. Na początku swojej drogi nawet nie planowała kariery muzycznej. Marzyła, by zostać reżyserką. Wszak, gdyż nie lubiła rozgłosu. Wszystko jednak potoczyło się inaczej, czego efektem jest wydana w tym roku, piękna płyta „Isolation”. Zabiera nas ona w nostalgiczną podróż do świata R&B i popu lat 80', dzięki czemu brzmi wyjątkowo znajomo, jakby się ją znało od lat. Warto wspomnieć, że Kali Uchis towarzyszą tacy muzycy jak Damon Albarn, Tame Impala, czy Jorja Smith.

KALEO



Elektra Records

„Kaleo” to islandzka grupa, której raczej nie trzeba przedstawiać. Nawet jeśli wcześniej nie obcowało się z płytą „A / B”, to istnieje bardzo niskie prawdopodobieństwo, że nie słyszało się ich najgłośniejszych singli. „No Good” oraz „Way Down We Go” to utwory, które towarzyszyły wielu reklamom, zwiastunom czy filmom. Islandczycy grają alternatywę będącą połączeniem muzyki rockowej z bluesem, przy której ciężko jest przejść obojętnie. Każda piosenka wchodząca w skład płyty z 2016 roku to istny hit, który zasługuje na pierwsze miejsca we wszelkich listach przebojów. Charakteryzują się one mocnym brzmieniem gitar, których nie powstydziłby się sam Marty McFly! Jednak po niezwykle potężnej pierwszej połowie płyty, przychodzi moment na bardziej spokojne i melancholijne utwory, takie jak „All the Pretty Girls”, „Automobile” czy przepiękny cover „Vor í Vagla-skógi”. Po „Kaleo” można się tylko spodziewać, że będzie to głośny, pełen wrażeń i emocji, występ.

VINCE STAPLES



Nie ukrywając, raperów lubię najbardziej słuchać w formie gościnnych występów u innych muzyków. Tak właśnie poznałem dwudziestokulku letniego Vince'a Staplesa rapującego u boku Rag'n'Bone Mana czy Damona Albarna. Staples nie ogranicza się do utartych schematów komercyjnego rapu, eksperymentując ze swoją muzyką. Najlepszym tego dowodem jest jego najnowszy album „Big Fish Theory”. Złamanie konwencji sprawia, że płyta jest nieoczywista i niekoniecznie łatwa w odbiorze.

DAWID PODSIADŁO



Jeden z najbardziej popularnych polskich muzyków młodego pokolenia powraca. Po dłuższej przerwie Dawid Podsiadło wrócił z przytupem, bo udzielając się w piosence „Początek” razem z Krzysztofem Zalewskim oraz Korteżem. Niedługo później podzielił się z fanami pierwszym singlem zapowiadającym już trzeci album artysty. Oby „Małomiasteczkowy” nie był jedynym nowym utworem granym na Openerze.

ARCTIC MONKEYS



Słuchając „Tranquility Base Hotel & Casino” mam nieodparte wrażenie, że wokalista Alex Turner marzył o tej płycie już od dłuższego czasu. Przesłanki o obraniu nieco ambitniejszego kierunku można dostrzec przesłuchując niektórych piosenek poprzedniej płyty „AM” oraz innego muzycznego projektu Turnera, czyli „The Last Shadow Puppets”. Zupełnie inne podejście do tego rocznego krążka podzieliło fanów zespołu na dwie grupy. Nie ma co się dziwić, w końcu vintage'owy i subtelniejszy styl nie jest raczej tym czego oczekiwali fani przebojowych, radiowych hitów znanych z poprzednich wydawnictw. Dla mnie jednak jest to zmiana na lepsze, ponieważ nie przepadam, gdy mój ulubiony zespół zamiast ewoluować i zaskakiwać nowymi pomysłami, stoi w miejscu, grając podobne, zlewające się ze sobą piosenki. Najnowszy krążek „Arctic Monkeys” jest dla mnie unikatową i bogatą instrumentalnie płytą, przy której każdy wieczór staje się magiczny i niezwykle klimatyczny.



O mojej miłości do anonimowanego zespołu Damona Albarna oraz Jamiego Hawletta pisałem już trzy numery wcześniej. Występ „Gorillaz” na Open'erze będzie zarazem drugim koncertem zespołu w Polsce. Choć ich debiut w naszym kraju mam już za sobą, to myśl o ujrzeniu ich ponownie nastroja mnie równie silnymi emocjami. Jednak nie tylko dlatego będzie to niezapomniany występ. Poza najpopularniejszymi kawałkami oraz tymi z ostatniej płyty „Humanz”, „Gorillaz” zaprezentuje swoją najnowszą, niespodziewaną płytę „The Now Now”. Choć krążek nie został jeszcze wydany, to mieliśmy już przyjemność usłyszenia większości nowych piosenek. Damon Albarn wziął sobie do serca rozczarowania fanów z powodu zbyt dużej ilości gości na poprzednim albumie. W „The Now Now” ograniczono tę liczbę do minimum. Gościnnie udzielają się jedynie George Benson, Snoop Dogg oraz Jamie Principle. Jest to swoisty powrót do korzeni zespołu i możliwość wytchnienia po nieco ciężkim i chaotycznym „Humanz”. Większość świeżych piosenek charakteryzuje się melancholijnym tonem, jednak nie brakuje i tych skoczniejszych numerów. Premiera „The Now Now” jest kolejnym argumentem za wybraniem się na koncert.

Michał Bisiorek

BEZ STRACHU PRZED DŽINSAMI BOOTCUT I KOWBOJKAMI SHERYL CROW NALEŻY DO MEGO MUZYCZNEGO PANTEONU ZE WZGLĘDU NA WIEKOPOMNĄ ROLĘ, JAKĄ ODEGRAŁA W MOIM ŻYWCIE W ODLEGŁYCH LATACH '90 XX WIEKU.

To ona wciągnęła mnie niemal na siłę w świat progresywnego rocka. Co zabawne, ani nie należała do grona sztandarowych jego przedstawicieli, ani nie dałem się zaciągnąć zbyt daleko. Było to jednak doznanie na tyle intensywne, że wyrażna słabość do jej twórczości, jakże zresztą różnorodnej, towarzyszy mi do dzisiaj.

Muzycznie, Sheryl Crow najlepsze lata ma rzekomo za sobą. Większość zagorzałych wyznawców wycofała się, gdy ta nadmiernie uporządkowała swój wygląd i zarzuciła indie rock na rzecz coraz wyraźniejszej inklinacji w kierunku country. Ja również przez dłuższy czas należałem do grona apostatów. Wyznam jednak, że gdy nikt nie patrzył, ukradkiem sprawdzałem w iTunesie, czy czegoś nowego nie nagrywa i czy przypadkiem nie powróci do stylu z dawnych, cenionych lat '90. Zupełnie też nie wiem, co mną kierowało, gdy całkiem niedawno zakupiłem jej album „Feels Like Home” z 2013r., mając początkowo poczucie niepotrzebnie wydanych pieniędzy, mimo iż kwota nie była aż tak wysoka. Wiedziałem przecież, że należy spodziewać się country w najbardziej rasowym wydaniu. Tyle że w efekcie krótkotrwałego stanu określanym jako pomroczny jasny, zaczęła się muzyczna przygoda, która zdaje się nie mieć końca: od kilku miesięcy regularnie powracam do tej płyty i właśnie o niej chciałem Wam słów kilka napisać. A dlaczego?

Powód nr 1: jakość produkcji – jest to naprawdę świetnie nagrany album. Współbrzmienie wszystkich instrumentów, ich har-

monijne współistnienie ze świetnym wokalem Ms. Sheryl oraz z chórkami są dla mego ucha czystą przyjemnością. Od strony warsztatowej jest to płyta wzorcowa, a wszyscy szanujący się młodzi gitarzyści i gitarzystki powinni być co najmniej świadomi twórczości Sheryl Crow. Zaś ta konkretnie płyta jest z pewnością wartym uwagi instruktażem dla chcących i lubiących grać na rozmaitych gitarach, a także dla uczących się realizacji gitarowego dźwięku.

Powód nr 2: treści. Nie ukrywam, miewam chwile słabości i słucham szmiry, której teksty potrafi przyswoić osoba ucząca się języka angielskiego na poziomie A2. Na szczęście, nie dotyczyło to nigdy tekstów Ms. Sheryl, a już na pewno nie tego albumu. Nie dość że podaje nam piękne opowieści, to w dodatku porządną angielszczyznę: trochę żartu i niegroźnego banału, sporo kliwizny, a nade wszystko – z sensem.

Powód nr 3: proces twórczy. Przeczytałem kilka wywiadów z Sheryl Crow i dowiedziałem się, że dłuższy czas przygotowywała się do nagrania takiej płyty. Współpracowała z najlepszymi muzykami i tekściarzami z Nashville, starając się stworzyć jak najbardziej autentyczny album. Uczyla się od nich interpretacji muzycznej i wokalnej, pozwoliła im na czynny udział w nagraniu, licząc się z ich zdaniem w trakcie pracy nad tekstami piosenek oraz ich aranżacją. Co ciekawe, nie zagubiła przy tej okazji typowych dla swej twórczości cech: nie brakuje zdecydowanych, gitarowych brzmień ani bujającej sekcji rytmicznej, którym zawsze

towarzyszy nienaganny szerylowy wokal, w zależności od potrzeby raz rzewny, raz zadziorny.

Powód nr 4: muzyczna wycieczka do USA, o którego istnieniu rzadko pamiętamy. Zawężanie obrazu tego ogromnego i różnorodnego kraju do Nowego Jorku, Chicago czy Los Angeles zbyt mocno trąci ignorancją. Osluchiwanie „Feels Like Home” jest trochę jak przejażdżka amerykańską, paliwożerną bryką po południowych stanach USA, byle dalej od przereklamowanego, może nawet przedawkowanego mainstreamu.

Oznajmiam na koniec, iż na tę chwilę wcale nie wybieram się na Piknik Country do Mrągowa w przyszłości bliższej ani dalszej, o przeprowadzce do Nashville już nawet nie wspominając. Kowbojek ani džinsów bootcut również raczej nosić nie będę, choć ta stylizacja wcale mnie aż tak nie przeraża. Zachęcam za to do wyjścia z własnych mainstreamów i wysupłania kilku złocisz na ten album. Sama Ms. Sheryl zauważa w jednej z piosenek: what's the point of money if you ain't gonna spend it. Poza tym, na dobry początek można wyszukać „Sheryl Crow” na kanale YouTube z dopiskiem „The Live Room”, duża część piosenek z przeżywanej przeze mnie płyty została tam zamieszczona w postaci nagrań na żywo w studio. Wszystkie zagrane i zaśpiewane jak należy, co w obecnych czasach wcale nie jest takie oczywiste.

Cytując Sheryl Crow, see you in the music!

Barto Pielak



KOLEJNY SKOK W SKANDYNAWSKI MROK

PO OBEJRZENIU SERIALU Z KATEGORII „NAPRAWDĘ DOBRY”, TRUDNO JEST ROZSKAKOWYWAĆ SIĘ W KOLEJNYM, NAWET JEŚLI MIAŁBY BYĆ „RÓWNIIE DOBRY” LUB „NAWET LEPSZY”. TO TROCHĘ JAKBY ODSŁUCHAĆ JEDNEGO WIECZORU I’M EVERY WOMAN W WYKONANIU CHAKA KHAN ORAZ WHITNEY HOUSTON, A NASTĘPNIE MUSIEĆ ODPOWIEDZIEĆ NA PYTANIE: I CO, KTÓRE WYKONANIE BARDZIEJ CI SIĘ PODOBAŁO? SĄ ARTYŚCI TAKICH DZIEŁ, KTÓRE NIE POWINNY RYWALIZOWAĆ. A JUŻ NA PEWNO SĄ ARTYŚCI TUDZIEŻ DZIEŁA, KTÓRYMI NIE WARTO DELEKTOWAĆ SIĘ W ZBYT KRÓTKIM ODSŁĘPIE CZASU, ABY NIE PRZEOCZYĆ SMACZKÓW I NIUANSÓW W TRAKCIE EKSTAZY UMYŚLU I ZMYŚŁÓW.

Po maratonie trzech sezonów Mostu nad Sundem, należących do kategorii „naprawdę dobre”, ogarnął mnie narkotyczny głód mroku skandynawskiego kina. Natrafiłem na kolejny serial, będący owocem współpracy Szwedów i Francuzów – Midnight Sun. Tym razem udałem się w podróż do podbiegunowej Laponii, która dotąd kojarzyła mi się jedynie ze Świętym Mikołajem, bezmiarem śniegu i trzaskającymi mrozami. Obywatel Francji zostaje zamordowany w wyrafinowany sposób: przywiązują do śmigła helikoptera, które coraz szybciej zaczyna się kręcić, w czego efekcie już niebawem policja będzie zbierała szczątki zwłok w promieniu kilkunastu metrów od maszyny. Od tej właśnie sceny zaczyna się film: najpierw o niej przeczytałem, później na szklanym ekranie ja ujrzałem i wówczas zapisałem na twardym dysku mej pamięci po wsze czasy.

Serial zdominowany jest przez dwie główne bohaterki. Najpierw kilka słów o pierwszej z nich, pani detektyw Kahina Zadi, oddelegowanej na krańce Szwecji do współprowadzenia śledztwa z tamtejszą policją. Francuzka 2.0*, która, pomimo paszportu V Republiki, obywatelką Francji nie zawsze może się czuć ze względu

na imigranckie pochodzenie - zarówno na łonie ojczyzny, jak i poza nim. Na domiar złego, postanowiła zostać policjantką. Okazuje się, że rzekomo postępową społeczność Francji i Szwecji, światło progresu społecznego w Europie, niekoniecznie z łatwością przyswaja powab pani detektyw. Kahina Zadi nie dość, że prowadzi zawile śledztwo w ekstremalnych warunkach w Kirunie, komunikując się z otoczeniem w obcym dla siebie języku angielskim, musi zarazem zmierzyć się z własnymi demonami, które nie pozwalają jej spać od lat, oraz co jakiś czas udowadniać, że jest najwłaściwszą osobą na właściwym miejscu. Białe noce potęgują jej bezsenność, ale nie są w stanie odebrać jej niezłomności, wrodzonej czy też może nabytej w meandrach życia. Pani detektyw chwyta zły los za rogi w każdym z możliwych zaułków, w których ten niestrudzenie próbuje ją podejść. Zawsze czujna i gotowa do działania - można by rzec, że jest niezatapialna.

Druga bohaterka tego serialu to przyroda, Matka Ziemia - od zarania dziejów zdaje się niewzruszenie trwać. Wbrew powszechnym współcześnie obawom, ludzkość w całej swej złożoności, gdzie nawias otwiera szlachetność,

a zamyka podłość, nie jest dla niej realnym zagrożeniem. Nawet dziesiątki kilometrów korytarzy kopalnianych i setki ton hałd osaczających Kirunę są niczym więcej jak kilkoma zadrapaniami na nieogarnionych połaciach gór, jezior i lasów. Człowiek na powierzonej mu ziemi odgrywa rolę bardziej intruza niż gospodarza, w swej zachłanności i małostkowości nie tylko nie dostrzega walorów swej rodzicielki ziemi - w ogóle jej nie widzi. Na szczęście, udaje się nielicznym jednostkom, w tym operatorowi kamery i lokalnej społeczności Lapończyków, którym bliżej do ignorowanej niż do ignorujących.

Oglądając kolejne odcinki, nasuwa się nieodparta myśl, że każda z wyżej wymienionych bohatererek funkcjonuje we własnych światach równoległych. W tej klaustrofobicznej izolacji zapewne tkwi siła ich istnienia.

Czy ta szwedzko-francuska koprodukcja wzbudzi masowy entuzjazm wśród widzów? nie sądzę. Obrazy i dźwięki z „Midnight Sun” nie są uniwersalnie łatwe w odbiorze: ani tam watko, ani kolorowo. A kto wytrwa do końca serialu, nie upadnie w mrok bez dna. Może dzięki białym nocom?

Barto Pielak

MOJE LATO

Jest! W końcu! Długo wyczekiwane lato. Zwiastun wolności i odpoczynku. Wiosna szybko została zażegnana przez drastyczne słońce i stojące powietrze. Warszawa w ciągu kilku dni zmieniła się w tropikalny las, upiększając posadzki autobusów i tramwajów, chodniki i biurka w żwawe strumyczki potu.

Pogoda wyglądała przyjaźnie. Wstałem, wyszedłem na pogrążony w cieniu balkon – dość ciepło, ale jednak przyjemnie. Niedługo mi przyszło czekać na prawdziwe przywitanie: wyszedłszy, otoczyło mnie ciężkie powietrze. Wkrótce uderzyło i słońce – piekące skórę, jakby chciało wszystko ze mnie wyparować. Każdy krok sprawiał mi kłopot, a jedyną moją motywacją na przejście tych kilku metrów była nadzieja na cień.

Nikogo nie może ominąć najlepsza rozrywka o tej porze roku – podróż nieklimatyzowaną komunikacją miejską. Gdy są to jeszcze te stare, darzone przez warszawiaków skrywaną miłością czerwone tramwaje Konstal, można jeszcze to jakoś przełknąć. Kiedy jednak tabor, o którym mówią „jeden z najnowocześniejszych w Europie”, nie jest wyposażony w klimatyzację, ma się ochotę wsadzić w niego całą Radę Miasta i potrzymać tak kilka godzin. Zaparowane szyby, smród i tęsknota za najmniejszym powiewem wiatru – oto co cechuje takie podróże. Jedyną nadzieją dla pasażera jest odcięcie się od świata i zapadnięcie w świat muzyki czy bezkresnej przestrzeni bez-myśli.

I tak się jedzie przez miasto, wytwarzając w sobie nienawiść do wszelkich bytów w okolicy. Pierwszą ofiarą musi paść oczywiście kierowca. Do klaustrofobicznej kabiny podchodzi babcia i krzyczy:

– Proszę pana! czy może pan włączyć wentylację? My się tu zaraz podusimy!

Wówczas kierowca jedynie bezbłędnie wskazuje palcem na tabliczkę z napisem „pojazd nieklimatyzowany”.

Na następnym przystanku wdiera się tłum pasażerów. Wzdycham i ze smutkiem zauważam, że swym wzrokiem ich nie przegonię. Teraz dotyk nagiej łydki z nagą łydką, nagiego łokcia z nagim łokciem, dłoni na nagim karku...

W ruch idą silne przedramienia, które rzucają wyzwanie zaparowanym oknom. Te twardo stawiają okno, kilka z nich jednak ustępuje. Powietrze i tak jednak nie dociera do więcej niż kilku osób, zaduch robi się coraz większy.

Wówczas ofiarą muszą paść „blachosmrodziarze”. Dziewczynka przeciera rękawem okno i wszyscy swój nienawistny wzrok wlepiają w stojące w korkach samochody. Zirytowani kierowcy, oblani potem – jednak nie jest to pot z gorąca, a ze stresu, że nie zdążą na kolację albo podjechać po dzieci do szkoły. Myśl, że huczy tam klimatyzacja łamie serca wszystkich z nas. Kto wie, czy nie będzie to kiedyś powód kolejnej rewolucji? Nie ma jednak upustu dla tej wielkiej złości.

Gdy frustracji już nie można wyładować na bezwzględnych kierowcy i blachosmrodziarzach, musimy sobie sami taką rozrywkę zapewnić. Zaczyna się już od następnego przystanku. Kilka osób chce przejść, inne wejść, robi się jeszcze większy ścisk, gwałt i wrzask. Przekleństwa na prawo i lewo, strатовane dziecko, łamane małe palce u nóg, łokcie idą w bój.

– Ej, panie, może przepraszam, co!? – krzyczy poszkodowana dziewczyna.

Konflikt przeradza się w interautobusową pyskówkę. Wiadomości z opóźnieniem kilkominutowym przechodzą na koniec pojazdu. Tam również się zaczyna. Radek nadepnął na stopę Sławka i zaczyna się przepychanka. Ratunku nie widać w autobusie – ten wciąż jest zablokowany przez blachosmrodziarzy.

– Hej, a pani ma tu coś do gadania!? – wrzeszczy ta sama babcia, co dyskutowała z kierowcą.

– A dlaczego nie, proszę pani!? Jestem takim samym pasażerem jak i pani!

Oczekuję już deklaracji poglądów politycznych, obrzucania się partyjnymi hasłami i obelgami, zarzucanie czy to komunizmu, czy faszyzmu, kiedy nagle autobus gwałtownie hamuje. Biiiiiiiiip – rozlega się. Wszyscy prawie upadają, jeden na drugiego, kolejne przekleństwa. Jednak wspólne nieszczęście zażegn timerowo wojnę.

Mam szczęście – oto i mój przystanek. Przepycham się, wreszcie w panice wypycham kilka osób z pojazdu i wydostaję się na świeże powietrze. Te takie wydaje mi się dosłownie przez pół minuty – potem znów odczuwam ciężkość, duchotę, a słońce powraca ze zdwojoną siłą. Patrzę w górę, by pogrozić potężnej gwiazdzie palcem, wówczas dostrzegam kolejne niebezpieczeństwo. Dlaczego nie? Czarna chmura idzie od wschodu, pogrążając w miłosiernym – przynajmniej przez moment – cieniu kolejne dzielnice. Wszystko to w akompaniamencie grzmotów, bijących jak armii bębny.

Nastąpił chyba Dzień Sądu. Moja droga prowadzi wprost w paszczę lwa. Nagle mocny wiatr gnie moją przepoconą koszulkę i pozostawia włosy w nieładzie. Uśmiecham się rozpaczliwie. W głębi czuję, że może mi się coś w końcu uda.

Nic z tego. Schodzę z żółtej poświaty, robi się ciemno. Nie, to nie może być deszcz! Grzmot. Drugi grzmot. Zdażę przed podniebnym prysznicem, muszę! Od celu dzieli mnie jeszcze pięć minut.

Momentalnie z góry spadają litry deszczu. Bombarduje mnie, biednego podróżnika. Biegnę, szukam jakiegoś daszku, wszystkie jednak schronienia są już zajęte lub nie wydają mi się nazbyt dobre. To już niedaleko.

Widzę wreszcie bramę. Jestem na miejscu. Wbiegnę przez nią w postaci mokrej szmaty kuchennej i zostawię koszmara za sobą.

W końcu! Brama daje mi schronienie przed deszczem. Odwracam się triumfalnie w stronę ulicy... lecz to ja znowu jestem przegranym. Słońce powróciło, deszcz znikł.

Cóż, byle przetrwać do zimy.

SPIS TREŚCI



**STACJONARNIE CZY MOBILNIE?
– WYWIAD Z BARTKIEM PIELAKIEM (STR. 1)**

SMAKI KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI (STR. 6)

**SPRAWOZDANIE Z PARADY
RÓWNOŚCI (STR. 8)**

**OPEN'ER FESTIVAL - KONCERTY, KTÓRYCH
NIE MOŻNA PRZEGAPIĆ! (STR. 9)**

**BEZ STRACHU PRZED DŻINSAMI
BOOTCUT I KOWBOJKAMI (STR. 12)**

KOLEJNY SKOK W SKANDYNAWSKI MROK (STR. 13)

OPOWIADANIE „MOJE LATO” (STR. 14)